

David Nicholls
**Dobry
początek**

Jeżeli wzruszył Cię
Jeden dzień,
to ta książka nieźle
Cię rozbawi.

 WIELKA LITERA

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).

David Nicholls

Dobry początek

Fragment

Z angielskiego przełożyła: Mira Czarnecka



Dla Ann i Alana Nichollsów.
I Hannah, oczywiście.

Runda pierwsza

Doskonale znała ten typ – niejasne ambicje,
wewnętrzne zakłamanie, powierzchowna znajomość
oglądanych z zewnątrz książek...^[1]

E.M. Forster, *Howards End*

^[1] Fragment zapożyczony z polskiego tłumaczenia Ewy Krasieńskiej: *Domostwo Pani Wilcox*, Czytelnik, Warszawa 1977. Książka ukazała się później również pod tytułem *Howards End*. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

1

PYTANIE: Pasierb Roberta Dudleya, a w swoim czasie faworyt Elżbiety I. Arystokrata, który poprowadził źle zaplanowaną i zakończoną fiaskiem rewoltę przeciwko królowej i został w konsekwencji stracony w 1601 roku?

ODPOWIEDŹ: Hrabia Essex.

Wszyscy młodzi ludzie uwielbiają się zamartwiać różnymi rzeczami, jest to zupełnie naturalne i niestety nieuniknione podczas dorastania, dlatego mając szesnaście lat, zadreczęłem się tym, że już nigdy w życiu nie osiągnę niczego tak dobrego, czystego, szlachetnego i tak prawdziwego, jak moje wyniki z egzaminów pierwszego stopnia w szkole średniej.

Wtedy oczywiście nie robiłem z tego powodu wielkiej afery; nie oprowałem świadectwa w ramki ani nie wyczyniałem żadnych innych dziwnych rzeczy, i teraz też nie zamierzam omawiać szczegółowo moich ocen, ale zdecydowanie jestem z nich dumny. Kwalifikacje. Szesnaście lat i po raz pierwszy udało mi się zdobyć jakiegokolwiek kwalifikacje.

Oczywiście, wszystko to działo się bardzo, bardzo dawno temu. Właśnie skończyłem osiemnaście lat i lubię myśleć, że mam dużo zdrowszy stosunek do tych spraw niż kiedyś. Tak więc wyniki z egzaminu drugiego stopnia są – kompletnie – nieistotne. Poza tym przekonanie, że można zmierzyć inteligencję poprzez jakiś śmieszny, przestarzały system egzaminów pisemnych, jest najzwyczajniej w świecie śmieszne. Muszę tylko tutaj nadmienić, że mówimy o najlepszych wynikach szkoły średniej na Langley Street w 1985 roku, prawdę powiedziawszy najlepszych od piętnastu lat, trzech ocenach bardzo dobrych i jednej dobrej, co daje razem 19 punktów. No tak, właśnie się wygadałem. Ale naprawdę uważam, że jest to mało istotne. Wspominam o tym tylko mimochodem. A w każdym razie, w porównaniu z innymi cechami, takimi jak odwaga, powodzenie, atrakcyjny wygląd, idealna cera czy aktywne życie seksualne, zwykła znajomość całej kupy faktów wydaje się mało ważna.

Jednak jak mawiał mój tata, najważniejsze w wykształceniu są możliwości, które ono stwarza. To wykształcenie otwiera wszystkie drzwi, bo wiedza, sama w sobie, jest ślepą uliczką, szczególnie z perspektywy miejsca, w którym się teraz znajduję – w to późne wrześnieowe, śródkowe popołudnie – a mianowicie w fabryce produkującej tostery.

Spędziłem wakacje, pracując w dziale wysyłek Ashworth Electricals. Co oznacza, że jestem odpowiedzialny za wkładanie tosterów do pudełek, zanim zostaną wysłane do detalistów. Oczywiście istnieje ograniczona liczba sposobów, na jakie można włożyć toster do pudełka, tak więc ogólnie rzecz biorąc, były to dość nudne miesiące. Na plus można jednak zaliczyć, że zarabiam 1,85 funta na godzinę, czyli całkiem nieźle, a na dodatek mogę zjeść tyle tostów, ile tylko mam ochotę. Ponieważ to mój ostatni dzień w pracy, łudziłem się, że zauważę dyskretne podawanie z rąk do rąk pożegnalnej kartki i zbiorke na pożegnalny prezent. Byłem też

ciekawym, do którego pubu się wybierzemy na drinka, ale jest już szósta piętnaście, więc chyba wszyscy poszli już do domu.

Prawdę powiedziawszy, wcale mnie to nie obchodzi, ponieważ i tak mam inne plany, tak więc biorę swoje rzeczy, po drodze zabieram z szafki z materiałami biurowymi garść długopisów i rolkę taśmy klejącej, i idę na molo, gdzie spotkam się ze Spencerem i Tone'em.

Molo w Southend o długości 2360 jardów lub 2158 metrów jest oficjalnie najdłuższym pomostem na świecie. Szczerze mówiąc, jest odrobinę za długie, szczególnie jeśli się niesie ze sobą dużo piwa. Oprócz piwa marki Lager mamy dwanaście dużych puszek skola, pulpeciki w sosie słodkokwaśnym, specjalnie przysmażany ryż i furę frytek z sosem curry. Cóż, kuchnia całego świata. Kiedy jednak dochodzimy do końca mola, piwo jest ciepłe, natomiast kupione na wynos jedzenie zimne. A ponieważ to szczególna okazja, Tone przytaszczył swój przenośny radiomagnetofon wielkości małej szafy. Spokojnie, jego dźwięk na pewno nie rozniesie żadnego miasta, no chyba że Shoeburyness^[2]. Tone puścił właśnie swoją ulubioną składankę największych przebojów Led Zeppelin, podczas gdy my usiedliśmy na ławce na końcu mola. I teraz przyglądamy się słońcu, które majestatycznie zachodzi nad rafinerią ropy.

– Ale nie zmienisz się w palanta – rzuca Tone, otwierając puszkę piwa.

– Co masz na myśli?

– No, nie zaczniesz się zgrywać na wielkiego studenciaka – tłumaczy Spencer.

– No cóż, jestem studentem. To znaczy będę...

– Chodzi o to, żebyś się nie stał zarozumiałym dupkiem i nie przyjeżdżał na Boże Narodzenie w todze. Gadał po łacinie, używał tych wszystkich zwrotów w stylu: „w przeważającej większości” lub „powszechnie uważa się” i tak dalej...

– No tak, Tone, dokładnie to będę robił.

– Hej, już i tak jesteś wystarczającym dupkiem. Chcesz być jeszcze większym?

Tone często nazywa mnie dupkiem, albo ciotą. Cała sztuczka polega na tym, żeby nie przejmować się tą małą prowokacją i traktować to w kategoriach czułego zdrobnienia, dokładnie tak, jak zwracają się do siebie niektóre pary, nazywając się: „skarbie” albo „kochanie”. Tone zaczął właśnie pracę w magazynie Currys, rozwijając na boku całkiem przyjemny interesik, którego źródłem jest podprowadzony sprzęt grający, taki sam jak ten, który dziś przyniósł razem z kasetą Led Zeppelin numer dwa. Tone lubi się nazywać „metalowcem”, co brzmi bardziej profesjonalnie niż „rockowiec” czy „fan heavy metalu”. Ubiera się też jak metalowiec: dużo jasnobłękitnego dżinsu. Do tego długie, odrzucone do tyłu, lśniące blond włosy, dzięki którym przypomina zniewieściałego wikinga. Ale włosy Tone’a to jedyny kobiecy akcent w jego wyglądzie. Sam bowiem zgrywa się na twardziela. A oznaką udanego wieczoru spędzonego z Tone’em jest powrót do domu, podczas którego nikt nie próbował wsadzić ci głowy do muszli klozetowej i spuścić wody.

A teraz *Stairway to Heaven*.

– Musimy słuchać tego cholernego hippisowskiego bełkotu? – upewnia się Spencer.

– To są Zeppelsi, Spence.

– Wiem, że to są Zeppelsi. Właśnie dlatego chcę, żebyś wyłączył to cholerstwo.

– Ale Zeppelsi rządzą.

– Dlatego że ty tak mówisz?

– Nie, dlatego że byli najważniejszym zespołem...

– Śpiewają o skrzatach, Tone. To żenada...

– Nie o skrzatach...

– No to o wrózkach – prostuję.

– Tu nie chodzi o skrzaty i elfy, to Tolkien, to literatura...

Tone kocha te rzeczy – książki z mapami z przodu i ilustracjami na okładkach przedstawiającymi duże, przerażające kobiety w białym z kolczugi trzymające w dłoniach szerokie miecze. Typ kobiety, którą – w idealnym świecie – by poślubił. Co, w Southend, prawdę mówiąc, jest dużo bardziej realne, niżbyście przypuszczali.

– A tak w ogóle, czym się różni skrzat od elfa?

– A skąd mam wiedzieć? Zapytaj Jacksona, to on jest dupkiem z kwalifikacjami.

– Nie wiem, Tone – odpowiadam.

Zaczęła się solówka na gitarze i na twarzy Spencera pojawił się grymas.

– Czy to się nigdy nie kończy? Ciągnie się i ciągnie, i ciągnie...

– To siedem minut i trzydzieści dwie sekundy czystego geniuszu.

– Chyba tortury – mówię. – A tak na marginesie, dlaczego zawsze słuchamy tego, co ty chcesz?

– Bo to mój sprzęt...

– Który zwędziłeś. Formalnie rzecz biorąc, nadał należy do

Currys.

– Tak, ale ja dostarczam baterie...

– Kradniesz je...

– Nie, te kupiłem.

– Ile kosztowały?

– Funt dziewięćdziesiąt osiem.

– Więc jeśli dam ci sześćdziesiąt sześć pensów, to posłuchamy czegoś przyzwoitego?

– Czego? Kate Bush? W porzo, Jackson, posłuchajmy Kate Bush, na pewno będziemy się przy niej świetnie bawić, a może się pobujemy? W końcu wszyscy uwielbiają tańczyć przy Kate Bush...

Kiedy się sprzeczamy, Spencer pochyla się nad magnetofonem, wyjmując z niego nonszalancko kasetę ze składanką największych przebojów Led Zeppelin i ciska ją prosto do morza.

Tone krzyczy:

– Cholera!

I rzuca w Spencera puszką piwa. Obydwaj zaczynają gonić się po molu. Lepiej nie angażować się za bardzo w te bójki.

Tone'a zazwyczaj trochę ponosi, jakby opętał go duch Odyna, czy coś takiego, więc jeśli się wtrączę, skończę ze Spencerem siedzącym na moich rękach i Tone'em pierdzącym mi w twarz. Nie ruszam się więc z miejsca, sączę spokojnie piwo i obserwuję, jak Tone usiłuje przerzucić nogi Spencera przez balustradę mola.

Jest już wrzesień i w wieczornym powietrzu daje się wyczuć chłód, zwiastun zbliżającego się końca lata. Dobrze, że włożyłem płaszcz odkupiony z wojskowych zapasów. Nigdy nie przepadałem za latem, za tym, jak popołudniami słońce odbija się od ekranu telewizora, i za tą ciągłą presją, aby nosić T-shirty i szorty. Nienawidzę T-shirtów i szortów. Gdybym tak ubrany stanął przed apteką, jestem pewny, że jakaś miła staruszka próbowałaby mi wcisnąć w dłoń monetę, biorąc mnie za nieletniego.

Naprawdę nie mogę się doczekać jesieni, kopania stert liści w drodze na wykład, ożywionych rozmów o poetach metafizycznych z dziewczyną o imieniu Emily, Katherine albo François, która nosi czarne wełniane rajstopy i ma równo obcięte włosy w stylu Louise Brooks. Nie mogę się doczekać wizyty w jej malutkim pokoju na poddaszu i kochania się z nią przed elektrycznym grzejnikiem. Później będziemy czytać na głos T.S. Eliota i pić wykwiintne porto z dobrego rocznika z malutkich szklaneczek, słuchając przy tym Milesa Davisa. W każdym razie tak to sobie wyobrażam. Rutyna życia studenckiego. Podoba mi się słowo „rutyna”. Sprawia, że wszystko wydaje się jak jazda rozpędzoną kolejką w parku rozrywki Alton Towers.

Bójka zakończona i Tone wyładowuje nadmiar agresji, ciskając pulpetami w mewy. Spencer wraca, wsuwając do środka koszulę, siada obok mnie i otwiera kolejną puszkę piwa. Ma styl. Można by pomyśleć, że pije martini z kieliszka.

Za Spencerem będę tęsknił najbardziej. Nie wybiera się na studia, chociaż jest najinteligentniejszym facetem, jakiego

kiedykolwiek poznałem. Nie wspominając o tym, że jest najprzystojniejszy, najtwardszy i najbardziej cool. Oczywiście niegdy bym mu tego nie powiedział, bo mogłoby to zabrzmieć nieco podejrzanie. Zresztą on i tak dobrze o tym wie. Mógłby pójść na studia, gdyby tylko chciał, ale zawałił egzaminy; nie celowo, w dosłownym sensie, ale wszyscy to widzieli. Na egzaminie z literatury siedział obok mnie i widziałem po ruchach jego długopisu, że nie pisze, tylko rysuje. Odpowiadając na pytanie z Szekspira, narysował *Wesołe kumoszki z Windsoru*, a przy poezji naszkicował rysunek zatytułowany „Wilfred Owen^[3] doświadcza na własnej skórze horroru okopów”. Usiłowałem złapać jego wzrok, żeby powiedzieć mu spojrzeniem coś w rodzaju: „Ej, stary, daj na wstrzymanie”, ale on trzymał spuszczoną głowę, i cały czas rysował, a po godzinie wstał i wyszedł, mrugając do mnie po drodze. Nie było to zawiadackie mrugnięcie, tylko takie, którym człowiek stara się powstrzymać łzy. Spencer szedł niczym skazaniec na spotkanie z plutonem egzekucyjnym.

Potem po prostu przestał pojawiać się na egzaminach. Słyszałem, jak ktoś kilka razy wspominał o „załamaniu nerwowym”, ale Spencer nie jest gościem, któremu przytrafiają się takie rzeczy. A nawet gdyby tak było, to zrobiłby to w swoim niepowtarzalnym stylu. Osobiście uważam, że całe to egzystencjalne myślenie w stylu Jacka Kerouaca^[4] jest całkiem niezłe, ale do czasu, nie wtedy, gdy zaczyna negatywnie wpływać na twoje stopnie.

– Więc co zamierzasz, Spence?

Mruży oczy i patrzy na mnie.

– O co ci chodzi?

– No wiesz. Co z pracą.

– Mam pracę.

Spencer zarejestrował się jako bezrobotny, ale pracuje również na czarno na całodobowej stacji benzynowej przy A127.

– Wiem, że masz pracę. Ale w przyszłości...

Spencer spogląda przed siebie, na ujście rzeki i zaczynam żałować, że poruszyłem ten temat.

– Twój problem, Brian, polega na tym, że nie doceniasz uroków życia, jakie oferuje całodobowa stacja benzynowa. Mogę napychać się słodyczami, ile dusza zapagnie. Mogę studiować atlasy. Mogę wdychać interesujące spaliny. Dostaję z promocji lampki do wina...

Bierze duży łyk piwa i zmienia temat. Sięga do swojej kurtki typu Harrington^[5] i wyciąga kasetę odręcznie podpisaną.

– Nagrałem ją dla ciebie. Udawaj przed nowymi kumplami, że masz gust.

Biorę kasetę, która na grzbiecie ma wykaligrafowany trójwymiarowy napis: „Składanka uniwersytecka Bri”. Spencer ma genialny zmysł artystyczny.

– To fantastyczne, dzięki, stary...

– Nie podniecaj się, Jackson, to tylko kasetka za sześćdziesiąt dziewięć pensów kupiona na targu, nie ma się nad czym rozwodzić.

Mówi tak, ale obydwaj wiemy, że ta dziewięćdziesięciminutowa składanka to dobre trzy godziny pracy, więcej, jeśli weźmie się pod uwagę grafikę.

– Włącz ją, dobrze? Zanim wróci ten muppet.

Wkładam kasetę, wciskam klawisz „start” i słyszymy Curtisa Mayfielda śpiewającego *Move on Up*. Spencer był fanem muzyki z lat sześćdziesiątych, ale ostatnio przerzucił się na vintage soul: Al Green, Gil Scott-Heron, tego typu rzeczy. Spencer ma taką klasę, że lubi nawet jazz. Nie tylko Sade czy The Style Council; prawdziwy jazz, te drażniące i nudne kawalki. Siedzimy i słuchamy przez chwilę. Tone w tym czasie usiłuje wydobyć z teleskopów pieniądze za pomocą noża sprężynowego, który kupił na szkolnej wycieczce do Calais. Przyglądamy mu się ze Spencerem, jak wyrozumieli rodzice dziecka z poważnymi problemami wychowawczymi.

– Więc będziesz wpadał w weekendy? – chce wiedzieć Spencer.

– Nie wiem. Chyba tak. Nie na wszystkie.

– Od czasu do czasu mógłbyś jednak przyjechać. Inaczej skażesz mnie na towarzystwo tego Conana Barbarzyńcy...

Spencer kiwa głową w stronę Tone'a, który teraz atakuje z rozbiegu teleskop, kopiąc go zawzięcie.

– Nie powinniśmy wznieść jakiegoś toastu? – proponuję. Spencer ściąga wargi.

– Toastu? Za co?

– No wiesz, za przyszłość, czy coś.

Spencer wzdycha i stuka się ze mną puszką piwa.

– Za przyszłość. I za czystą cerę.

– Spieprzaj, Spencer – odpowiadam.

– To ty spieprzaj, Brian – rzuca, ale ze śmiechem.

Gdy pijemy nasze ostatnie piwa, jesteśmy już nieźle wstawieni, leżymy więc na plecach, nic nie mówiąc. Słuchamy morza i Otisa Reddinga śpiewającego *Try a Little Tenderness* i spoglądamy w rozgwieżdżone niebo. I w tę pogodną noc późnego lata, z najlepszymi kumplami u mego boku, przepełnia mnie uczucie, że prawdziwe życie dopiero przede mną i że wszystko jest możliwe.

Chcę słuchać nagrań sonat fortepianowych i wiedzieć, kto je gra. Chcę chodzić na koncerty muzyki klasycznej i wiedzieć, kiedy należy bić brawo. Chcę umieć odbierać nowoczesny jazz i nie traktować go jak jednego wielkiego nieporozumienia, i chcę wiedzieć, kim dokładnie są Velvet Underground^[6]. Chcę być w pełni zaangażowany w świat idei, chcę rozumieć meandry ekonomii i co ludzie widzą w Bobie Dylanie. Chcę mieć radykalne, ale humanitarne i dobrze ugruntowane poglądy polityczne i chcę prowadzić ożywione, mądre debaty przy drewnianych kuchennych stołach, używając wyrażen takich jak: „Sprecyzuj swoje tezy!” czy „Twoje założenia są jawnie pokrętne!”, i żeby odkryć nagle, że weszło słońce, a my rozmawialiśmy przez całą noc. Chcę używać takich słów jak: „pierwszoplanowy”, „solipsystyczny” i „użyteczny”. Chcę nauczyć się rozpoznawać wykwintne wina, egzotyczne likiery, rzadkie szlachetne whisky i nauczyć się je pić bez poczucia, że

jestem idiotą. Chcę też nauczyć się jeść rzadkie i egzotyczne dania, jajka siewki i homara thermidor^[2], rzeczy, których nazwy zdają się nieomal sugerować, że są niejadalne, albo których nie jestem w stanie wymówić. Chcę kochać się z pięknymi, wyrafinowanymi i onieśmielającymi kobietami, w dzień albo nawet przy zaświeconym świetle, i na trzeźwo, i bez strachu, i chcę mówić biegle wieloma językami i może nawet jednym lub dwoma martwymi, i nosić mały notes oprawiony w skórę, w którym będę zapisywał błyskotliwe myśli i obserwacje oraz jakąś przypadkową linijkę wiersza. A najbardziej chcę czytać książki; książki grube jak cegła, książki oprawione w skórę, z niewiarygodnie cienkiego papieru i z tymi bordowymi tasiemkami, którymi się zaznacza przerwę w czytaniu; tanie, zakurzone, używane antologie poezji, niewiarygodnie drogie importowane książki pełne niezrozumiałych esejów z zagranicznych uniwersytetów.

I chciałbym, żeby przyszedł mi do głowy jakiś oryginalny pomysł. I chciałbym być popularny, może nawet uwielbiany, ale z tym można jeszcze poczekać. A jeśli chodzi o pracę, jeszcze się nie zdecydowałem, co by mnie interesowało, ale na pewno coś, co nie napawa mnie odrazą i co nie przyprawia mnie o wymioty, i co sprawi, że nie będę się musiał cały czas martwić o pieniądze. I to wszystko właśnie da mi uniwersyteckie wykształcenie.

Kończymy piwo, a potem sytuacja wymyka się spod kontroli. Tone wrzuca moje buty do morza i muszę wracać do domu w skarpetkach.

^[2] Shoeburyness – przylądek, fragment lądu wysunięty na południowy wschód od Southend-on-Sea.

^[3] Wilfred Owen (1893–1918) – jeden z wielkich poetów angielskich czasu I wojny światowej.

^[4] Jack Kerouac (1922–1969) – pisarz amerykański, który z parą przyjaciół zakwestionował status quo świata literackiego,

pisząc szczerze o swoim życiu zdominowanym przez alkohol i swobodne obyczaje.

[5] Harrington – rodzaj lekkiej sportowej kurtki na ściągaczu, zasuwanej na zamek.

[6] Velvet Underground – amerykańska grupa muzyczna.

[7] Homar thermidor – danie z homara nazwane tak przez Napoleona, który spróbował je po raz pierwszy w 11 miesiącu – *thermidor* – kalendarza republikańskiego wprowadzonego krótko po rewolucji francuskiej.

2

PYTANIE: W którym filmie Powella i Pressburgera z 1948 roku, nawiązującym do baśni Hansa Christiana Andersena, Moira Shearer tańczy i umiera przed parowozem?

ODPOWIEDŹ: *Czerwone trzewiczki.*

Numer szesnaście na Archer Road, jak wszystkie pozostałe domy na tej ulicy, to *maisonette*. Jest to zdrobnienie od francuskiego rzeczownika rodzaju żeńskiego, *maison*, co znaczy dosłownie „mały domek”. Mieszkam tu z moją mamą i jeśli chcecie wiedzieć, jak niewygodnie może się mieszkać dwóm osobom, to jesteśmy najlepszym tego przykładem, osiemnastoletni mężczyzna i czterdziestoletnia wdowa gnieźdzący się w jednym małym *maisonette*. Dzisiejszy ranek jest tego najlepszym przykładem. Leżę pod kołdrą o ósmej trzydzieści, słucham *The Breakfast Show* i przyglądam się wiszącym na suficie modelom samolotów. Wiem, wiem, już dawno temu powinienem był je ściągnąć, ale w którymś momencie, kilka lat temu, z rozkosznie chłopiących stały się zabawnie kiczowate, więc je tam zostawiłem.

Mama wchodzi do pokoju, potem puka.

– Dzień dobry, śpiochu. Dzisiaj wielki dzień!

– Czy ty nigdy nie pukasz, mamó?

– Ależ pukam!

– Nie, wchodzisz i wtedy pukasz. To nie jest pukanie...

– No i co? Przecież nie robisz tu nic takiego, prawda?

Spogląda chytrze.

– Nie, ale...

– Nie mów, że masz tu dziewczynę. – Pociąga róg kołdry. – Hej, kochanie, nie wstydź się, porozmawiajmy. No wychodź, wychodź, kimkolwiek jesteś...

Naciągam kołdrę z powrotem na głowę.

– Zejdę za chwilę...

– Ależ tu śmierdzi, naprawdę śmierdzi, zapach chłopców, wiesz o tym?

– Nie słyszę cię, mamó...

– Co wy robicie, że wydzielacie taką woń?

– To chyba dobrze, że wyjeżdżam, prawda?

– O której masz pociąg?

– Dwunasta piętnaście.

– Dlaczego w takim razie jesteś jeszcze w łóżku? Proszę, to prezent na pożegnanie...

Mówiąc to, rzuca na kołdrę plastikową torbę. Otwieram ją; w środku znajduje się przezroczysta tuba, taka, w jakiej zazwyczaj kupuje się piłki do tenisa. Ta jednak zawiera trzy zwinięte w kulki pary męskich bawełnianych slipów. Są w białym, czarnym i czerwonym kolorze, jak nazistowska flaga.

– Mamó, nie powinnaś...

– Och, to taki drobiazg.

– Chciałem powiedzieć, że niepotrzebnie je kupowałaś.

– Nie bądź przemądrzały, młody człowieku. No, wstawaj. Musisz się spakować. I otwórz, proszę, okno.

Gdy wychodzi, wytrzepuję z plastikowej tuby majtki na koldrę, rozkoszując się jakże wymowną doniosłością tej chwili. To są ostatnie majtki, które kupiła mi moja mama. Białe są w porządku, czarne wydają mi się trwale, ale czerwone? Czy mają coś sugerować? Dla mnie czerwone majtki zdają się krzyczyć: „stop” i „niebezpieczeństwo”.

Wiedziony jednak duchem przygody wstaję z łóżka i wkładam czerwone slipki. A co, jeśli są jak „czerwone trzewiczki” i nie będę mógł ich ściągnąć? Mam nadzieję, że nie, bo gdy oceniam efekt w lustrze w szafie, to mam wrażenie, że ktoś postrzelił mnie w krocze. Naciągam wczorajsze spodnie i z nieumyтыми zębami, słodkokwaśnym oddechem i nadal lekko zamroczony po wczorajszym piwie schodzę na dół na śniadanie. Potem się wykapię, spakuję i po prostu wyjdę. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę wyjeżdżam. Nie mogę uwierzyć, że mi wolno.

Dzisiaj moim największym wyzwaniem jest pakowanie, wyjście z domu i dostanie się do pociągu, uniknąwszy słów mamy: „Twój tata byłby z ciebie dumny”.



Wtorkowy wieczór, lipiec, na zewnątrz jest nadal jasno, a zasłony są zasunięte do połowy, żebyśmy dobrze widzieli telewizor. Jestem w piżamie i szlafroku po kąpieli, pachnę lekko dettolem i jestem pochłonięty sklejaniem bombowca Lancaster, Airfix w skali 1:72, który stoi przede mną na tacy na herbatę. Tato wrócił właśnie z pracy, pije piwo z puszki i pali. Dym z jego papierosa snuje się w promieniach zachodzącego słońca.

– Pierwsze za dziesięć punktów. Który z brytyjskich królów jako ostatni oglądał czynne działania militarne?

– Jerzy V – mówi tato.

– Jerzy III – odpowiada Wheeler z Jesus College z Cambridge.

– Zgadza się. Wasza runda premiowa zaczyna się od pytania z geologii.

– Znasz się na geologii, Bri?

– Trochę – odpowiadam odważnie.

– Krystaliczna bądź o szklistym wyglądzie, która z trzech podstawowych rodzajów skały powstaje wskutek schłodzenia i zestalenia stopionej magmy...?

Wiem, jestem pewien, że to wiem.

– Wulkaniczna! – rzucam.

– Magmowa – mówi Armstrong z Jesus, Cambridge.

– Zgadza się.

– Blisko – mówi tato.

– Jak określa się strukturę skał magmowych, które zawierają duże wyraźne kryształy zwane prakryształami?

No spróbuj.

– Ziarniste – mówię.

Johnson z Jesus, Cambridge, odpowiada:

– Porfirowe?

– Zgadza się.

– Blisko – mówi tato.

– *Porphyria's Lover*, w którym bohaterka dusi swojego ukochanego warkoczem... – Chwileczkę, chyba wiem, o kogo chodzi – ...to poemat którego wiktoriańskiego poety?

Roberta Browninga. Przerabialiśmy to na angielskim tydzień temu. To Browning. Wiem.

– Robert Browning! – rzucam, starając się z całej siły żeby nie krzyknąć.

– Robert Browning? – odpowiada Armstrong z Jesus, Cambridge.

– Zgadza się!

Słysząc aplauz widowni w studio dla Armstronga z Jesus, Cambridge, ale obydwaj wiemy, że ten aplauz jest w rzeczywistości dla mnie.

– Do licha, Bri, skąd to wiedziałeś? – pyta tato.

– Po prostu wiedziałem – odpowiadam.

Chcę się obejrzeć i zobaczyć, czy się śmieje – nie robi tego zbyt często, a na pewno nie po pracy – ale nie chcę pokazać, jaki jestem z siebie dumny, więc siedzę nieruchomo i przyglądam się jego odbiciu na ekranie telewizora. Tato zaciąga się papierosem, potem kładzie mi na głowie dłoń przesiąkniętą dymem papierosowym, jak kardynał. Gładzi mnie po włosach długimi palcami żółtymi na czubkach i mówi:

– Uważaj, bo się tam znajdziesz, jeśli nie będziesz uważał.

Uśmiecham się do siebie, a ja czuję się mądry i sprytny, że w końcu coś mi wyszło.

Potem oczywiście robię się zbyt pewny siebie i próbuję odpowiedzieć na każde pytanie, i niestety za każdym razem podaję złą odpowiedź. Ale to nie ma znaczenia, ponieważ w końcu coś mi się udało i wiem, że pewnego dnia uda mi się znowu.



Myślę, że nie skłamię, jeśli powiem, że nigdy nie byłem niewolnikiem mody. Nie chodzi o to, że jestem jej przeciwnikiem, a raczej że żaden z głównych trendów młodzieżowych, które dane mi było do tej pory przeżyć, jakoś do mnie nie przemawiał. Koniec końców, brutalna prawda brzmi, że jeśli się jest fanem Kate Bush, Charlesa Dickensa, scrabble, Davida Attenborough i *Rozgrywki Uczelniane*, to niewiele człowiekowi pozostaje w kwestii trendów czy mody.

To nie znaczy, że nie próbowałem. Przez jakiś czas w bezsenne noce zamartwiałem się, że jestem gotem^[8], ale wydaje mi się, że to był tylko okres przejściowy. Poza tym bycie gotem płci męskiej wcale nie jest takie zabawne i oznacza noszenie się w stylu hra-biego Drakuli, a ostatnią rzeczą, o której marzyłem, to

upodobnianie się do kostycznego wampira. Nie mam po prostu wystających kości policzkowych. Bycie gotem to również konieczność słuchania muzyki, która jest trudna do zniesienia.

Tak więc z grubsza biorąc, to był mój jedyny flirt z kulturą młodzieżową. Przypuszczam, że moje własne osobiste poczucie stylu można opisać jako nieformalne, ale klasyczne. Od dżinsu wolę swobodę bawełnianych spodni z zaszewkami, ale z kolei bardziej podoba mi się dżins ciemny niż jasny. Płaszczki powinny być ciężkie i długie, z postawionym kołnierzem, szaliki powinny mieć frędzle i być czarne albo w kolorze burgunda. Są też nieodzowne od września aż do późnego maja. Buty koniecznie na cienkiej podeszwie, nie mogą być zbyt spiczaste i – co bardzo ważne – do dżinsów pasują jedynie czarne lub brązowe.

Nie boję się też eksperymentów, szczególnie teraz, gdy mam szansę stworzyć siebie na nowo. Tak więc położyłem starą walizką rodziców na łóżku i przeglądam niektóre z moich świeżutkich nabytków, które odłożyłem specjalnie na tę okazję. Na pierwszy ogień idzie moja nowa kurtka. Jest zrobiona z czarnej i ciężkiej tkaniny o gęstym splocie. To kurtka, jaką nakłada się do prac drogowych. Wydaje się surowa jak wyprawiona skóra zwierzęcia. Jestem z niej dość zadowolony, a jej styl to połączenie artyzmu i prostoty rękodziela – „dość tego Shelleya, spadam do roboty”.

Następnie wrzucam do walizki pięć koszul, którymi pewnie mój pradziadek byłby zachwycony, komplet w odcieniach bieli i błękitu. Kupiłem je za funt dziewięćdziesiąt dziewięć sztuka podczas jednodniowej wyprawy z Tone'em i Spencerem na Carnaby Street. Spencer ich nie cierpi, ale ja uważam, że są wspaniałe, szczególnie w połączeniu z czarną kamizelką, którą nabyłem za trzy funty w sklepie charytatywnym z używaną odzieżą. Musiałem schować ją przed mamą, nie dlatego że ma coś przeciwko sklepom charytatywnym. Uważa tylko, iż rzeczy używane są pospolite i że to prawie tak, jakby się jadło jedzenie podniesione z podłogi. Ale przez to połączenie kamizelki, koszuli pradziadka i okrągłych

okularów zamierzam stworzyć wizerunek oficera armii cierpiącego na nerwicę frontową, który się jąka i nie rozstaje się z notestem pełnym poezji. Został tu przysłany, aby znaleźć się jak najdalej od brutalności frontu, ale nie zapomniał o swoim patriotycznym obowiązku. Pracuje na farmie w odległej wiosce w Gloucestershire. Miejscowi traktują go z dużą podejrzliwością, ale za to kocha się w nim skrycie i platonicznie piękna córka wikarego, sufrażystka i miłośniczka książek, która jest zwolenniczką pacyfizmu, wegetarianizmu i biseksualizmu. To jest naprawdę wspaniała kamizelka. A poza tym wcale nie jest z secondhandu, to niepowtarzalny styl *vintage*.

Następnie biorę brązową sztruksową marynarkę mojego taty. Kładę ją płasko na łóżku i składam ostrożnie w poprzek rękawy. Na przedzie jest ledwie widoczna plama z herbaty sprzed kilku lat, gdy popełniłem niewybaczalny błąd, kiedy włożyłem ją, idąc na szkolną dyskotekę. Wiem, że może się to wydawać trochę makabryczne, ale sądziłem, że to będzie ładny gest, coś w rodzaju hołdu. Powinienem być jednak najpierw zapytać mamę. Gdy zobaczyła, jak stoję przed lustrem w marynarce taty, krzyknęła i rzuciła we mnie kubkiem z herbatą. Kiedy w końcu zdała sobie sprawę, że to tylko ja, wybuchnęła płaczem i przeleżała kolejne pół godziny, łkając w poduszkę. Chyba nie muszę wam mówić, że nic tak nie nastraja na imprezę jak zapłakana kobieta. Gdy się w końcu uspokoiła, a ja dotarłem na dyskotekę, przeprowadziłem następującą rozmowę z miłością mojego życia w tym tygodniu, Janet Parks.

Ja: Wolny taniec, Janet?

Janet Parks: Ładna marynarka, Bri.

Ja: Dziękuję!

Janet Parks: Skąd ją masz?

Ja: To marynarka mojego taty!

Janet Parks: Ale twój tato... nie żyje, prawda?

Ja: Tak!

Janet Parks: Więc masz na sobie marynarkę nieboszczyka?

Ja: Zgadza się, więc co z tym tańcem?

...W tym momencie Janet zasłoniła ręką usta i szybko się oddaliła. Pokazując na mnie, szeptała o czymś w kącie z Michelle Thomas i Sam Dobson, a potem... poderwała Spencera Lewisa. Nie, żebym miał żal, czy coś. Poza tym na uniwersytecie ta historia nie będzie miała żadnego znaczenia. Nikt nie będzie o tym wiedział, z wyjątkiem oczywiście mnie. Tam to będzie po prostu ładna sztruksowa marynarka. Składam ją i wkładam do walizki.

Mama wchodzi, potem puka, a ja szybko zamykam walizkę. Mama wygląda dość płacziwie, więc lepiej, żeby marynarka taty nie doprowadziła jej znowu do łez. Specjalnie wzięła wolne przedpołudnie i nie poszła do pracy, żeby móc spokojnie popłakać.

– Spakowany?

– Prawie.

– Weźmiesz ze sobą frytkownicę?

– Nie, nie będzie mi potrzebna, mam.

– Ale co będziesz jadł?

– Przecież wiesz, że oprócz frytek jadam też inne rzeczy!

– Nie jestem pewna.

– No to może zacznę. A poza tym frytki można też przyrządzać w piekarniku.

Oglądam się i widzę, że się pod nosem uśmiecha.

– Powinieneś się już zbierać, prawda?

Mam jeszcze mnóstwo czasu do odjazdu pociągu, ale mamie wydaje się, że jazda pociągiem to trochę jak lot samolotem i do odprawy trzeba zgłosić się na cztery godziny przed odlotem. Nie, żebyśmy kiedyś podróżowali w ten sposób, ale to cud, że nie kazała mi się wcześniej zaszczepić.

– Wyjdę za pół godziny – mówię i zapada cisza.

Mama chce coś powiedzieć, ale nie może wydobyć z siebie głosu, co oznacza, że to pewnie tekst w stylu, że tato byłby ze mnie dumny lub coś takiego. Na szczęście rezygnuje, odwraca się i wychodzi. Siadam na walizce, żeby ją zamknąć, a potem kładę się na łóżku i po raz ostatni rozglądam się po pokoju – jest to ten moment, w którym, gdybym był palaczem, zaciągnąłbym się papierosem.

Nie mogę uwierzyć, że to się naprawdę dzieje. To chyba ta niezależność, którą odczuwa każdy dorosły, tak to właśnie to uczucie. Czy nie powinien temu towarzyszyć jakiś rytuał? Wśród afrykańskich plemion odbywały się zapewne jakaś niesamowita czterodniowa ceremonia i rytuał przejścia, włącznie z robieniem tatuażu i przyjmowaniem środków halucynogennych będących wyciągiem z rzekotek drzewnych, a starszyzna plemienna nacierałaby moje ciało krwią małp, tymczasem tutaj cały rytuał przejścia to trzy nowe pary majtek i kołdra wepchnięta do czarnego worka na śmieci.

Gdy schodzę na dół, odkrywam, że mama przygotowała dla mnie pakunek. Dwa duże pudła po chipsach, kryjące w sobie niezwykle praktyczne przedmioty. Oczywiście jest tam frytkownica, sprytnie schowana pod pełnym serwisem obiadowym, toster, który zwędziłem z Ashworth Electricals, czajnik, egzemplarz *Cudowne dania z mięsa mielonego* i pojemnik na chleb włącznie z sześcioma posypanymi mąką miękkimi bułkami i bochenkiem białego chleba Mighty White. Jest tam nawet tarka do sera, a mama przecież wie, że nie jadam sera.

– Naprawdę nie mogę zabrać tego wszystkiego, mamó – mówię.

I tak w symboliczny i wzruszający sposób upływają mi ostatnie chwile życia w domu mojego dzieciństwa. Sprzeczasz się z mamą o to, czy będzie mi potrzebna trzepaczka do jajek. Tak, będzie tam grill, na którym będę mógł robić tosty, tak, potrzebny mi jest walkman i słuchawki. A gdy wreszcie nasze negocjacje dobiegają końca, udaje nam się ograniczyć wszystko do jednej walizki, plecaka z moim stereo i książkami, dwoma workami na śmieci

wypełnionymi kołdrą i poduszkami, i wobec nalegań mamy, dużą ilością ścierek do naczyń.

W końcu muszę wyjść. Nalegam, żeby mama nie odprowadzała mnie na stację, ponieważ to też symboliczny i przełomowy moment w moim życiu. Stoję na progu, a ona bierze portmonetkę i uroczyście wciska mi do ręki złożony banknot dziesięciofuntowy.

– Mamo...

– Proszę, weź.

– Poradzę sobie, naprawdę...

– No, weź. Dbaj o siebie...

– Oczywiście...

– Postaraj się zjeść od czasu do czasu jakiś owoc...

– Postaram się...

– I...

W końcu nadchodzi ten moment. Przelyka głośno i mówi:

– Wiesz, że tato byłby z ciebie bardzo dumny, prawda?

Całuję ją szybko w jej suche i zaciśnięte usta, i najszybciej jak potrafię, pokonuję drogę na stację, przystając tylko kilka razy.

W pociągu nakładam słuchawki i słucham mojej własnej, specjalnie przygotowanej składanki z ulubionymi przebojami wszech czasów Kate Bush. To całkiem niezła składanka, ale nie mamy w domu zestawu stereo z prawdziwego zdarzenia i dlatego w połowie *The Man With The Child In His Eyes* słyszeć, jak mama krzyczy do mnie z dołu, że kotlety są już gotowe.

Z namaszczeniem otwieram moje nowiutkie wydanie *Królowej wieszczek*, którą przerabialiśmy w pierwszym półroczu. Lubię myśleć, że jestem całkiem niezłym czytelnikiem, z szerokimi horyzontami, i tak dalej, ale to wszystko wydaje mi się jedną wielką ściemą, odkładam więc *Królową wieszczek* po pierwszych osiemnastu wersach i w zamian skupiam się na Kate Bush i angielskim krajobrazie przesuwanym się za oknami, i na tym, żeby wyglądać na zamyślonego, skomplikowanego i interesującego. Mam

duże okno, cztery miejsca i stolik do własnej dyspozycji, puszkę coca-coli i twixa, i jedyne, co mogłoby mnie jeszcze w tej chwili uszczęśliwić, to gdyby do przedziału weszła atrakcyjna kobieta i powiedziała coś w rodzaju:

„Widzę, że czytasz *Królową wieszczek*. Zamierzasz studiować literaturę?”

„Jasne!” – odpowiedziałbym.

„To cudownie! Czy mogę się przysiąc? Mam na imię Emily. Powiedz mi, co myślisz o Kate Bush?”

Moje wypowiedzi są elokwentne i dowcipne. Pomiędzy nami narasta napięcie, a w chwili gdy pociąg wjeżdża na stację, Emily pochyla się nad stolikiem i przygryzając kokieteryjnie górną wargę, mówi:

„Słuchaj, Brian, prawie cię nie znam, i nigdy wcześniej nie proponowałam tego żadnemu facetowi, ale może pójdziemy... do hotelu albo gdzieś? Dłużej tego nie zniosę”.

Przystaję na propozycję ze znużonym uśmiechem, który ma oznaczać, że zdarza mi się to za każdym razem, gdy wsiadam do pociągu. Biorę ją za rękę i prowadzę do najbliższego hotelu...

Ale chwileczkę. Po pierwsze, co zrobić z całym swoim bagażem? Nie mogę się przecież pokazać w hotelu z dwoma czarnymi workami na śmieci, prawda? I pozostaje też kwestia kosztów. Pieniądze, które zarobiłem, pracując tego lata, poszły już na wynajem, a mój czek ze stypendium przyjdzie dopiero w następnym tygodniu. I chociaż nigdy wcześniej nie mieszkalem w hotelu, wiem, że nie będzie tani, czterdzieści, może pięćdziesiąt funtów. Spójrzmy prawdzie w oczy, to wszystko potrwa jakieś dziesięć minut, okej góra piętnaście, jeśli będę miał szczęście. No i nie chcę w chwili największej przyjemności, szczytując, martwić się jakością za dobrą cenę. Przypuszczam, że Emily zaproponuje podzielenie się kosztami po połowie, ale będę musiał odmówić, bo w przeciwnym razie pomyśli, że jestem tani. A nawet jeśli będzie nalegać, a ja się zgodzę, będzie musiała zapłacić gotówką, niezależnie od tego, czy

zrobimy to, czy nie. Z pewnością obędzie to nasze spotkanie z intymności i czaru, pozostawiając cierpki smak goryczy. Czy Emily pomyśli, że jestem dziwny, jeśli potem zostanę, żeby w pełni wykorzystać pobyt w hotelu?

„Kochana, to było piękne i dziwnie bolesne. A teraz, czy mogłabyś wy dostać ręczniki z mojego plecaka?”

A poza tym czy to dobry pomysł, żeby wskoczyć do łóżka z kimś, z kim się będzie studiowało? A co, jeśli ta wzajemna fascynacja seksualna stanie na przeszkodzie naszej pracy akademickiej? Prawdę powiedziawszy, może to wcale nie jest taki dobry pomysł. Może powinienem poczekać, aż poznam Emily trochę lepiej, zanim przejdziemy do tych spraw?

I zanim pociąg wjechał na stację, zaczynam odczuwać ulgę, że Emily jest jedynie wytworem mojej wyobraźni.

Z wysiłkiem dźwigam worki i walizkę. Stacja znajduje się na wzgórzu, z którego rozpościera się przepiękny widok na miasto. Od czasu rozmowy kwalifikacyjnej jestem tu zaledwie drugi raz, i wprawdzie nie jest to Oxford ani Cambridge, ale następny w kolejności. Ważne, że są tu iglice wież. Nostalgicznie.

[8] Got – fan rocka gotyckiego.

3

PYTANIE: Która popularna powieść Frances Hodgson Burnett, napisana w 1886 roku i od tego czasu wielokrotnie wystawiana na deskach teatru, zapoczątkowała wśród młodych chłopców modę na długie kręcone włosy i ak-samitne garnitury z koronkowymi kołnierkami?

ODPOWIEDŹ: *Mały lord.*

Oto, co wpisałem w rubryce „Hobby i zainteresowania” w formularzu aplikacyjnym biura socjalnego: książki, kino, muzyka, teatr, pływanie, badminton, życie towarzyskie!

Lista ta oczywiście nie mówi zbyt wiele. Nie jest nawet do końca prawdziwa. „Książki” to prawda, ale wszyscy to wpisują. Podobnie „kino” i „muzyka”. „Teatr” to kłamstwo, nie cierpię teatru. Wprawdzie grywałem w przedstawieniach, nie miałem jedynie okazji zbyt często ich oglądać, z wyjątkiem objazdowego pokazu edukacyjnego o bezpieczeństwie na drodze, który mimo iż został zrobiony z rozmachem, werwą i polotem, to jednak pozostawił u mnie niedosyt pod względem doznań estetycznych. Trzeba

jednak udawać, że się lubi teatr – to obowiązek. „Pływanie” też nie jest do końca prawdziwe. Potrafię pływać, ale tylko tak, jak każde tonące zwierzę. Wydawało mi się po prostu, że powinienem wpisać coś związanego ze sportem. Podobnie „badminton”. Kiedy mówię, że interesuję się badmintonem, to w rzeczywistości chcę powiedzieć, że gdyby ktoś przystawił mi do skroni pistolet i grożąc mi śmiercią, zmusił mnie do oddania się jednej, jedynej dziedzinie sportowej i nie uznałyby scrabble za sport, to padłoby na badminton. I to cała filozofia. „Życie towarzyskie!” to również eufemizm. „Samotny i napalony” byłoby bardziej właściwym określeniem, ale oczywiście bardziej podejrzanym. Nawiasem mówiąc, wykrzyknik na końcu ma nadać mojej wypowiedzi beztroski i luzacki ton, w rodzaju „co mi tam”.

Muszę więc przyznać, że nie dałem zbyt wielu wskazówek pracownikom biura socjalnego, ale to i tak nie tłumaczy, dlaczego ulokowali mnie w jednym mieszkaniu z Joshem i Marcusem.

Richmond House znajduje się w ciągu szeregowców z czerwonej cegły na szczycie bardzo stromego wzgórza nad miastem, dogodnie usytuowanym w odległości kilku kilometrów od najbliższego przystanku autobusowego. Zanim więc udaje mi się tam dotrzeć, ociekam potem, a moja kurtka jest mokra. Drzwi wejściowe są już otwarte, a korytarz wypełniony jest pudłami, rowerami wyścigowymi i dwoma wiosłami, kijem do krykieta i ochraniaczami, sprzętem narciarskim, butlami tlenowymi i kombinezonem do nurkowania. Wygląda to tak, jakby ktoś zrobił skok na sklep ze sprzętem sportowym. Stawiam walizkę tuż za progiem i z rosnącym przerażeniem przedzieram się przez stertę przedmiotów, w poszukiwaniu swoich nowych współlokatorów.

Wspólną kuchnię oświetla świetlówka. Pachnie środkiem dezynfekującym i drożdżami. Przy zlewozmywaku dwóch chłopaków, jeden potężny z blond włosami, a drugi ciemnowłosy i krępy z trądzikiem na szczurzej twarzy, napełniają przy użyciu gumowej rurki od prysznicza pusty plastikowy kubek na śmieci. *She Sells*

Sanctuary The Cult grzmi z radiomagnetofonu, a ja stoję przez dłuższą chwilę w progu, mówiąc: „Hej!” i „Cześć!”, wreszcie ten z blond włosami podnosi wzrok. I wbija spojrzenie w moje czarne worki na śmieci.

– O! śmieciarz przyszedł!

Ścisza odrobinę muzykę, podbiega do mnie jak przyjazny labrador i potrząsa energicznie moją dłoń, a ja zdaję sobie sprawę, że po raz pierwszy uściśnąłem dłoń komuś w moim wieku.

– Ty musisz być Brian – wita mnie. – Ja jestem Josh, a to jest Marcus!

Marcus jest drobny i cierpi z powodu trądziku. Jego rysy zdają się zbiegać na środku twarzy schowanej za lotniczymi okularami, które paradoksalnie nadają mu wygląd osoby niezdolnej nawet do stania w pobliżu samolotu. Mierzy mnie od stóp do głów szczerzym spojrzeniem, pociąga nosem i skupia się na plastikowym kubku. Joshowi buzia się nie zamyka, gada jak najęty głosem gościa z kroniki filmowej Charles’a Pathé.

– Jak się tu dostałeś? Komunikacją miejską? Gdzie twoja rodzina? Czy wszystko w porządku? Dosłownie kapie z ciebie pot.

Josh ma na nogach ciżmy w kolorze burgunda, beżową aksamitną kamizelkę – prawdziwie aksamitną kamizelkę – fioletową koszulę z bufiastymi rękawami i czarne dżinsy, tak ciasne, że niemal można odgadnąć położenie każdego jądra. Ma fryzurę jak Tone, na zniewieściałego wikinga. Oznakę zdeklarowanego metalowca. Nad górną wargą delikatny wąsik. Co nadaje Joshowi lekko fircykowaty, muszkieterski wygląd. Tylko gdzie zawieruszył swój rapier.

– Co jest w tym kubku? – pytam.

– Piwo domowej roboty. Pomyśleliśmy, że im szybciej rozpoczniemy fermentację, tym lepiej. Oczywiście możesz się przyłączyć. Koszty po prostu podzielimy na trzech...

– Rozumiem...

– Na dzisiaj to dziesięć funtów, za drożdże i koncentrat chmielu, i rurki, i beczkę, i tak dalej, ale za trzy tygodnie będziesz się delectował tradycyjnym Yorkshire Bitter w cenie sześciu pensów za pół litra.

– To jak za darmo!

– Marcus i ja znamy się na pędzeniu bimbru, w internacie prowadziliśmy nielegalną destylarnię, z całkiem przyzwoitym zyskiem. Chociaż oślepiiliśmy przypadkowo kilku dochodzących łebków!

– Chodziliście do jednej szkoły?

– O tak. Jesteśmy jak bliźnięta syjamskie, prawda, Marcus?

Marcus posapuje w odpowiedzi.

– Gdzie chodziłeś do szkoły?

– Nic ci to nie powie...

– Spróbuj.

– Langley Street?

Nic.

– Szkoła średnia na Langley Street?

Nic.

– Southend? – podpowiadam. – Essex?

– Nie! Absolutnie, nic mi to nie mówi! Chcesz zobaczyć swoje włości?

Idę za Joshem po schodach, a za nami wolno podąża Marcus. Ściany wzdłuż schodów są stalowego koloru i zdobią je jedynie instrukcje mówiące o tym, jak postępować w razie wybuchu pożaru. Mijamy ich pokoje, pełne pudeł i walizek, ale nadal przestronne, i na końcu korytarza Josh pchnięciem otwiera drzwi do czegoś, co na pierwszy rzut oka wygląda jak cela więzienna.

– Proszę bardzo! Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, ale rozdzieliliśmy pokoje, zanim przyjechałeś.

– Aha. Jasne...

– Rzucaliśmy monetą. Chcieliśmy się rozpakowywać, rozumiesz.

– Oczywiście! Rozumiem!

Wyczuwam, że ktoś tu wystrychnął mnie na dudka, i postanawiam już nigdy nie ufać mężczyźnie w aksamitnej kamizelce. Cała sztuka polega teraz na tym, żeby zaznaczyć hierarchię w stadzie, i zrobić to dyskretnie, aby uspić czujność przeciwnika.

– Dość mały, prawda? – rzucam.

– No cóż, wszystkie są małe, Brian. A my naprawdę rzuciliśmy monetą...

– Jak się rzuca monetą pomiędzy trzema osobami?

Cisza. Josh marszczy czoło, poruszając ustami jak ryba.

– Zawsze możemy rzucić jeszcze raz, jeśli nam nie wierzysz – sapie gniewnie Marcus.

– Nie, no skąd...

– W takim razie rozgość się. Witaj na pokładzie!

Biegną do swojego piwa domowej roboty, szepcząc coś do siebie.

Mój pokój wygląda tak, jakby właśnie przeprowadzono w nim rewizję. Panuje w nim ponura atmosfera i robi wrażenie miejsca zbrodni; metalowe łóżko z materacem, szafa i biurko ze sklejkki do kompletu, i dwie małe drewnopodobne półki z formiki. Wykładzina jest w kolorze brunatnobrązowym i wygląda, jakby została utkana ze zbitego owłosienia łonowego. Brudne okno nad biurkiem wychodzi na znajdujące się w dole kubły na śmieci, a oprawione w ramkę ogłoszenie informuje, że przyklejanie czegokolwiek do ścian taśmą klejącą podlega karze śmierci. No cóż, chciałem mansardę i dostałem mansardę. Lepiej zabrać się do roboty.

Najpierw rozkładam zestaw stereo i puszczam *Never for Ever*, triumfalny trzeci album Kate Bush. Pozostałe płyty ustawiam obok talerza i przez chwilę toczę ze sobą wewnętrzną walkę, który album powinien być pierwszy i widoczny po wejściu do pokoju. Eksperymentuję z *Revolver* Beatlesów, *Blue* Joni Mitchell, Dianą Ross, Supremes i Ellą Fitzgerald, w końcu decyduję się na moje nowiutkie nagranie *Koncertów brandenburskich* Bacha ze słynnego cyklu *Muzyka dla Przyjemności*, prawdziwie okazyjny zakup za jedyne 2,49 funta.

Następnie rozpakowuję książki i znowu nie wiem, jak je ułożyć na półkach z formiki; alfabetycznie według autorów, alfabetycznie według autorów, ale z podziałem tematycznym; według gatunków literackich; według narodowości; według wielkości; i w końcu i najbardziej efektywnie, według koloru – czarny klasyczny Penguin na jednym końcu, przechodzący w biały Picador na drugim, z kilkoma centymetrami zielonego Virago pośrodku, którego jeszcze nie zdążyłem przeczytać, ale z pewnością to zrobię. Zajmuje mi to oczywiście trochę czasu i gdy kończę, jest już ciemno, ustawiam więc na biurku przegubową lampę.

Następnie postanawiam zmienić moje łóżko w futon^[9]. Prawdę mówiąc, chciałem zrobić coś takiego już dawno temu, ale gdy próbowałem tego w domu, mama się ze mnie śmiała. Zamierzam więc wypróbować ten patent tutaj. Siłuję się z materacem, tajemniczo poplamionym i tak wilgotnym, że można na nim hodować rzeżuchę. Układam go na podłodze, unikając bezpośredniego kontaktu z twarzą, następnie nie bez pewnej trudności demontuję metalową ramę łóżka. Waży chyba tonę, ale w końcu udaje mi się ją schować bezpiecznie za szafę. Oczywiście tracę kilka centymetrów kwadratowych jakże cennej powierzchni, ale efekt końcowy jest tego wart – rodzaj minimalistycznej, kontemplacyjnej atmosfery rodem z orientu, którą jedynie zakłócają śmiałe, granatowe, czerwone i białe paski poszwy na kołdrę z British Home Stores.

Zgodnie z minimalizmem futonu w stylu zen, chcę też ograniczyć dekorację na ścianach do montażu pocztówek ulubionych obrazów i zdjęć. Rodzaj graficznego manifestu bohaterów i rzeczy, które lubię. Leżę na materacu i wyciągam taśmę klejącą; *The Death of Chatterton* Henry’ego Wallisa, *Ofelia* Millais’a, *Madonna z Dzieciątkiem* da Vinci, *Gwiazdzysta noc* van Gogha, Edward Hopper, Marilyn Monroe w tutu spoglądająca posepnie w kamerę; James Dean w długim płaszczu w Nowym Jorku; Dustin Hoffman w *Maratończyku*; Woody Allen; zdjęcie mamy i taty śpiących na

leżakach w Butlins, Charles Dickens, Karl Marx, Che Guevara, Laurence Olivier jako Hamlet, Samuel Beckett, Antoni Czechow, ja jako Jezus w przedstawieniu *Godspell* w szóstej klasie, Jack Kerouac, Burton i Taylor w *Kto się boi Virginii Woolf*, zdjęcie Spencera, Tone'a i moje na szkolnej wycieczce do Dover Castle. Spencer trochę pozuje, z głową lekko przechyloną do przodu i na bok. Wyglądając na gościa z klasą, znudzonego i cholernie inteligentnego. Tone, jak zwykle, ułożył palce w znak V.

W końcu, tuż obok mojej poduszki, umieszczam zdjęcie taty, chudego jak szczapa. Patrzy groźnie przed siebie, niczym Pinky w *Brighton Rock*, tylko że stoi na promenadzie w Southend z butelką piwa i papierosem tłącym się w długich palcach.

Ma włosy zaczesane w czarny czub, mocno zarysowane kości policzkowe i długi cienki nos. Ubrany jest w elegancki garnitur z marynarką z niedużym kołnierzykiem, zapinaną na trzy guziki. Mimo że się uśmiecha do obiektywu, nadal wygląda dość onieśmielająco. Zdjęcie zostało zrobione około 1962 roku, cztery lata przed moim urodzeniem, musiał więc być wtedy w tym samym wieku, co ja teraz. Uwielbiam tę fotografię, ale cały czas nie mogę się pozbyć wrażenia, że gdyby mój dziewiętnastoletni tato spotkał dziewiętnastoletniego mnie na molu w Southend w tę sobotnią noc, najprawdopodobniej doszłoby do bójki.

Ktoś puka do drzwi i odruchowo chowam taśmę za plecy. Przypuszczam, że to Josh, który chce mnie poprosić o jakąś przysługę czy coś w tym stylu. Do pokoju wchodzi jednak ogromna blondyna z fryzurą wikinga i blond wąsami.

- I jak? Wszystko w porządku? – pyta Josh w damskim przebraniu.
- W najlepszym.
- Dlaczego materac leży na podłodze?
- Ach, pomyślałem, że przez jakiś czas posłuży mi jako futon.
- Futon? Naprawdę? – upewnia się Josh i zaciska swoje pomalowane szminką wargi, jakby to był najbardziej szalony pomysł, o jakim kiedykolwiek słyszał.

Brzmi to nieco komicznie, zważywszy na to, że pochodzi od mężczyzny w damskich fataląszkach.

– Marcus, chodź i zobacz futon Jacksona!

Ubrany w sportową minispódniczkę i kabaretki, ze sztuczną czarną peruką z lokami, Marcus wsuwa nos do pokoju, prycha, a potem znika.

– Wychodzimy – idziesz z nami?

– Idę gdzie...?

– Na imprezę pod hasłem: „Dziwki i klerycy”, w Kenwood Manor. Powinno być zabawnie.

– No tak, może rzeczywiście. Ale właśnie pomyślałem, żeby zostać i trochę poczytać...

– Nie bądź takim dupkiem...

– Ale nie mam się w co ubrać...

– Masz czarną koszulę, prawda?

– Aha.

– No widzisz. Wsuń pod kołnierzyk kawałek białej tektury i jesteś gotowy. Do zobaczenia za pięć minut. I nie zapomnij o tej dziesiątce na piwo domowej roboty, dobrze? Przy okazji, świetnie się tu urządziłeś.

[9] Futon – rodzaj materaca do spania, pochodzenia japońskiego.

4

PYTANIE: Energia wyzwalająca się pomiędzy dwoma protonami uzależniona jest od ich wzajemnego oddalenia. Jakie siły działają pomiędzy protonami, gdy odległość pomiędzy nimi jest odpowiednio: a) mała i b) średnia?

ODPOWIEDŹ: Odpychanie i przyciąganie.

Jako człowiek światowy i obyty wiem, że nie należy wychodzić z domu wieczorem z pustym żołądkiem. Kupuję więc na kolację torebkę frytek i niezbyt apetyczną parówkę. Jem to po drodze na przyjęcie. Zaczyna coraz mocniej padać, ale staram się pochłonąć jak najwięcej frytek, zanim zrobią się zimne i mokre. Marcus i Josh kroczą dość pewnie przede mną w swoich szpilkach, najwyraźniej obojętni na bezlitosne spojrzenia przechodniów. Przypuszczam, że widok chłopaków w damskich fatalaszkach musi być stałym elementem krajobrazu, gdy się mieszka w mieście uniwersyteckim. Bo już niedługo zacznie się tydzień przebierańców, zżółkną liście, jaskółki polecą na południe, a pasaż wypełni się studentami medycyny przebranymi za seksowne pielęgniarki.

Po drodze Josh zarzuca mnie pytaniami.

– Co studiujesz, Brian?

– Literaturę angielską.

– Poezja, tak? Ja studiuję politykę i ekonomię, Marcus prawo.

Uprawiasz jakiś sport?

– Gram w scrabble – żartuję.

– Scrabble nie jest sportem. – Marcus pociąga nosem.

– Nie widziałeś, jak gram – odparowuję błyskawicznie.

Najwyraźniej nie złapał żartu, ponieważ wykrzywia się

w grymasie i stwierdza:

– Nieważne, jak grasz, to nie jest sport.

– Wiem, ja tylko...

– Grasz w futbol, krykieta albo rugby? – rzuca Josh.

– Prawdę mówiąc, w nic...

– Nie jesteś więc sportowcem?

– Zdecydowanie nie.

Nie mogę się oprzeć uczuciu, że jestem poddawany jakiejś weryfikacji, pod kątem której przyjmą do prywatnego klubu no name i że, niestety, nie zdaję egzaminu.

– A squash? Potrzebuję partnera.

– Nie gram w squasha. Czasami w badmintona.

– Badminton to gra dla bab – stwierdza Marcus, poprawiając paski w swoich butach bez pięty.

– Zrobiłeś sobie rok wolnego? – dopytuje się Josh.

– Nie...

– Byłeś gdzieś tego lata?

– Nie...

– Co robią twoi rodzice?

– Mama pracuje przy kasach w Woolworths. Tato sprzedawał podwójne okna, ale już nie żyje.

Josh ściska mi rękę i mówi: „Tak mi przykro”, chociaż nie wiadomo, czy chodzi mu o śmierć taty, czy pracę mamy.

– A twoi?

– Ach, tato pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a mama w Departamencie Transportu.

O mój Boże, jest torysem. Albo przynajmniej zakładam, że Josh jest torysem, skoro jego rodzice do nich należą, to zazwyczaj dziedziczne. Jeśli chodzi o Marcusa, nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że należy do Hitlerjugend.

W końcu dochodzimy do Kenwood Manor. Unikałem akademików, ponieważ podczas dnia otwartego na uniwersytecie poinformowano mnie, że są nieciekawe, zbiorowe i pełne chrześcijan. W rzeczywistości można byłoby je opisać jako coś pośredniego pomiędzy szpitalem dla umysłowo chorych a pomniejszą szkołą prywatną – długie akustyczne korytarze, podłogi z parkietu, zapach wilgotnej bielizny schnącej na letnich kaloryferach i poczucie, że coś strasznego dzieje się gdzieś w toalecie.

Odległe dudnienie Dexys Midnight Runners prowadzi nas wzdłuż korytarza do dużego, wyłożonego boazerią pomieszczenia z wysokimi oknami, gdzie już zebrała się niewielka grupa studentów – z których jedną siódmą stanowią dziwki, a jedną trzecią klerycy, z czego żeńskie i męskie dziwki stanowią mniej więcej stosunek jeden do jednego. Niezbyt przyjemny widok. Dobrze zbudowani mężczyźni i całkiem liczna grupa kobiet w zręcznie podartych rajstopach i wypchanych sportowymi skarpetami biustonoszach. Przebierańcy opierają się o ściany niczym, no cóż, dziwki właśnie, podczas gdy dostojni edwardiańscy rektorzy spoglądają z rozpaczą ze swoich portretów.

– Przy okazji, Bri, nie masz przypadkiem ze sobą tej dziesiątki...?
– dopytuje się Josh, marszcząc czoło. – Na piwo domowej roboty?

Nie bardzo mogę sobie na to pozwolić, oczywiście, i jest to ta dziesiątka, którą wcisnęła mi do ręki mama, ale w duchu nowej przyjaźni dają pieniądze, a Josh i Marcus natychmiast się zmywają, jak psy spuszczone z uwięzi. Pewnie chcą, żebym zawarł jeszcze kilka przyjaźni na całe życie. Dochodzę do wniosku, że właściwie

na tym początkowym etapie wieczoru lepiej jest być klerykiem niż dziwką.

W drodze do prowizorycznego baru, stołu na kozłach, gdzie można dostać red stripe za bardzo rozsądną cenę 50 pensów za puszkę, przybieram przystępny wyraz twarzy – prostolinijny, niezbyt szeroki uśmiech, któremu towarzyszą delikatne skinienia głowy i pełne nadziei spojrzenia zbitego spaniela. Przy barze stoi tyczkowaty hippis z identycznym jak mój uśmiechem wiejskiego półgłówka i, co przedziwne, jeszcze gorszą cerą. Rozgląda się po sali i z piskliwym akcentem z okolic Birmingham mówi:

– Absolutne wariatkowo, prawda?

– Szaleństwo! – zgadzam się i obydwaj przewracamy oczami, jakbyśmy chcieli powiedzieć: „Ach, te dzisiejsze dzieciaki!”.

Ma na imię Chris i wkrótce okazuje się, że również studiuje literaturę.

– Co za zbieżność! – wykrzykuje Chris.

Następnie z dokładnością do przecinka relacjonuje mi historię egzaminów drugiego stopnia i szczegółową treść formularza UCCA^[10], do tego dochodzi wątek każdej książki, którą przeczytał w życiu. Nie robiąc przerwy, płynnie przechodzi do opisu lata, które spędził, podróżując po Indiach, a ja przeżywam z nim wszystkie te dni i noce, kiwając głową i wypijając trzy puszki red stripe, i cały czas zastanawiam się, czy jego cera rzeczywiście wygląda gorzej niż moja, gdy nagle zdaję sobie sprawę, co mówi mój rozmówca:

– ...i wiesz co? Przez cały ten czas ani razu nie użyłem papieru toaletowego.

– Naprawdę?

– Ależ tak. I nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek miał go jeszcze używać. Ten sposób pozostawia uczucie świeżości, a poza tym jest dużo bardziej ekologiczny.

– Więc co robisz...?

– Ach, używam po prostu ręki, a potem wiadra wody. Tej ręki!

Podsuwa mi ją pod nos.

– Możesz mi wierzyć, to dużo bardziej higieniczne.

– Ale wydawało mi się, że mówiłeś, że chorowałeś na czerwonkę.

– No tak, ale to co innego. Wszyscy chorują na czerwonkę.

Postanawiam nie kontynuować tego tematu i rzucam:

– Wspaniale! No cóż, świetnie, naprawdę świetnie...

I znowu wyruszamy w podróż rozklekotanym autobusem, na nagich drewnianych ławkach, z Hajdarabadu do Bangaluru, aż gdzieś przy Erramala Hills red stripe zaczyna działać i zdaję sobie z radością sprawę, że mój pęcherz jest pełen, i że naprawdę mi przykro, ale muszę wyjść do toalety.

– Nigdzie nie idź, zaraz wracam, nie ruszaj się z miejsca.

Gdy odchodzę, chwytą mnie za ramię, unosi na wysokość mojej twarzy lewą dłoń i mówi ewangelicznym głosem:

– I nie zapominaj! Papier toaletowy to nasz wróg!

Uśmiecham się i szybko odchodzę.

Gdy wracam, stwierdzam z ulgą, że sobie poszedł, więc siadam na brzegu drewnianej sceny, obok niedużej dziewczyny, która nie przebrała się ani za dziwkę, ani za kleryka, ale za członka młodzieżowej sekcji KGB – ciężki czarny płaszcz, czarne rajstopy, krótka dzinsowa spódnica i czarna czapka w sowieckim stylu zsunięta do tyłu i odsłaniająca czarną, postawioną na sztorc, błyszczącą od wazeliny grzywkę. Posyłam jej pytający uśmiech w rodzaju „pozwolisz, że się dosiędę?”, na co ona odpowiada grymasem zdającym się mówić „nie jestem zainteresowana”. Przez sekundę widzę jej maleńkie, ostre, białe ząbki, wszystkie tej samej wielkości, pod absurdalnym maźnięciem purpurowej szminki. Powinienem prawdopodobnie się ulotnić, ale piwo sprawiło, że czuję się nieustraszony, no i jestem przesadnie towarzyski, siadam więc obok niej. Nawet poprzez dudniące basy *Two Tribes* słyhać, jak ściągają się jej mięśnie twarzy.

Odwracam się, jak gdyby nigdy nic i spoglądam na nią. Pali skręta, wypuszczając nerwowo małe obłoczki dymu, i patrzy

z uporem na parkiet. Mam dwie możliwości, odezwać się albo sobie pójść. Może jednak spróbuję się odezwać?

– Cała ironia polega na tym, że naprawdę jestem klerykiem!
Brak odpowiedzi.

– Nie widziałem tylu prostytutek od czasu moich szesnastych urodzin.

Brak odpowiedzi. Może mnie nie usłyszała. Proponuję jej łyk mojego red stripe z puszki.

– Jesteś bardzo uprzejmy. Ale nie skorzystam.

To mówiąc, podnosi stojącą z boku puszkę i macha nią w moim kierunku. Jej akcent idealnie pasuje do twarzy, twardej i ostrej, wydaje mi się, że szkocki, z okolic Glasgow.

– Więc za kogo jesteś przebrana? – pytam radośnie, wskazując na jej strój.

– Za siebie – odpowiada bez uśmiechu.

– Mogłaś się przynajmniej postarać, nałożyć koloratkę czy coś.

– Może. Tyle że jestem żydówką. – Wypija łyk ze swojej puszki.

– To śmieszne, ale bale przebierańców nigdy nie cieszyły się popularnością wśród społeczności żydowskiej.

– Wiesz, czasami chciałbym być żydem – rzucam.

Nie wiem, czy to dobre zagranie, ale na pewno dość odważne, a do tego nie jestem do końca pewien, dlaczego to mówię. Może dlatego, że uważam, iż należy rozmawiać otwarcie o kwestiach rasy, płci i tożsamości, a może dlatego, że jestem kompletnie wstawiony?

Mruży oczy i przygląda mi się przez chwilę z niedowierzaniem, zaciągając się skrętem. Pewnie zastanawia się, czy ma się obrazić, czy nie. W końcu mówi cicho:

– Doprawdy?

– Przepraszam, nie chciałem, żeby zabrzmiało to rasistowsko, chciałem tylko powiedzieć, że wielu moich bohaterów to Żydzi, więc...

– Cóż, cieszę się, że moi ludzie zyskali twoją aprobatę. Jakich wobec tego bohaterów masz na myśli?

– Ach, no wiesz, Einstein, Freud, Marx...

– Karl czy Groucho?

– Jeden i drugi. Arthur Miller, Lenny Bruce, Woody Allen, Dustin Hoffman, Philip Roth...

– Jezus oczywiście...

– ...Stanley Kubrick, Freud, J.D. Salinger...

– Ściśle mówiąc, Salinger nie jest Żydem.

– Ależ jest.

– Możesz mi wierzyć, nie jest.

– Jesteś pewna?

– My wszystko wiemy. Wyczuwamy to.

– Ale to żydowskie nazwisko.

– Jego ojciec był żydem, jego matka była katoliczką, więc technicznie rzecz biorąc, nie jest żydem. Żydowskie pochodzenie przekazywane jest w linii żeńskiej.

– Nie wiedziałem.

– No widzisz, początki twojej uniwersyteckiej edukacji.

Znowu wpatruje się w parkiet, obecnie zatłoczony dziwkami bujającymi się w takt muzyki. To dość pośepny widok, niczym nowo odkryty krąg piekła.

Nora przygląda mu się z jawną pogardą, jakby czekała na wybuch bomby, którą sama podłożyła.

– Chryste, czy ty widzisz tę zgraję – wzdycha przeciągle, podczas gdy *Two Tribes* przechodzi płynnie w *Relax*. – Frankie śpiewa: „Nie mam zasranego pojęcia...”.

W związku z tym, że cynizm jest w cenie, dokładam starań i chociażę na tyle głośno, żeby mnie usłyszała. Odpowiada mi z półuśmiechem.

– Wiesz, jakie jest największe osiągnięcie angielskiej szkoły z internatem? Pokolenia chłopaków z włosami w strąkach, którzy

nauczyli się, jak wkładać pas do pończoch. Zdumiewające, ilu z was przyjeżdża na uniwersytet z damskimi fataląszkami w walizce.

Z was?

– Prawdę mówiąc, chodziłem do powszechnej szkoły średniej – wyjaśniam.

– No cóż, prawdziwy z ciebie zuch. Wiesz, jesteś szóstą osobą, od której to słyszę dzisiejszego wieczoru. Zastanawiam się, czy to jakiś dziwny lewicowy sposób na podryw? Czy mam wpaść w zachwyt nad naszym systemem szkolnictwa, czy raczej przyjrzeć się twoim osiągnięciom akademickim?

Właśnie zostałem pokonany, biorę więc swoją prawie pełną puszkę piwa i macham nią w powietrzu, jakby była pusta.

– Idę do baru, czy coś ci przynieść, hm...

– Rebecca.

– Rebecca?

– Nie, dzięki.

– W porządku. No cóż. Do zobaczenia. Przy okazji, jestem Brian.

– Do widzenia, Brian.

– Cześć, Rebecca.

Mam zamiar podejść do baru, ale kątem oka widzę Chrisa hip-pisa, który zdaje się czyhać na kolejną okazję, z ręką zanurzoną po łokieć w dużej torbie chipsów. Wychodzę więc szybko z sali. Muszę się przejść.

Wędruję wzdłuż korytarza wyłożonego drewnianą boazerią, gdzie ostatnia grupa studentów żegna się z rodzicami przy dźwiękach *Legend* Boba Marleya. Jedna dziewczyna szlocha w ramionach swojej szlochającej matki, podczas gdy jej zniecierpliwiony ojciec stoi sztywno obok, ściskając w dłoni mały zwitek banknotów. Tyczkowaty, zawstydzony i ubrany na czarno got z okazałych rozmiarów aparatem na zębach wypycha swoich rodziców z pokoju, aby w spokoju oddać się kontemplacjom nad swoją mroczną naturą ukrytą za całym tym metalem i plastikiem. Inni nowo przybyli witają się z sąsiadami, wygłaszając swe skrócone

życiorysy, jakby to kogoś miało interesować. Kierunek studiów, miejsce urodzin, oceny z egzaminów, ulubiony zespół, najstraszniejsze przeżycie z dzieciństwa. Te uprzejmości, zarezerwowane dla klasy średniej przypominają sceny z filmów wojennych, kiedy to nowi, rekruci i pokazują sobie wzajemnie zdjęcia swoich dziewczyn, które zostały w domu.

Zatrzymuję się przy tablicy ogłoszeń stowarzyszenia studentów, sączę swoje piwo i przyglądam się od niechcienia plakatom – perkusja do kupienia, wezwanie do bojkotowania Barclays, nieaktualne ogłoszenie o spotkaniu rewolucyjnej partii komunistycznej w celu poparcia górników, przesłuchania do *Piratów z Penzance*. Odnotowuję, że Self Inflicted i Meet Your Feet grają we Frog and Frigate w najbliższy wtorek.

I właśnie wtedy to zauważam.

Na tablicy ogłoszeń jasnoczerwona kopia plakatu formatu A4 informuje:

Pierwsze za dziesięć, dla Ciebie!

Odróżniasz Sofoklesa od Sokratesa?

Ursa Minor od Lee Majors^[11]?

Carpe diem od habeas corpus?

Wydaje ci się, że jesteś gotowy rzucić wyzwanie wielkim tego świata?

W takim razie zapraszamy na przesłuchanie do *Rozgrywek Uczelnianych*

Kwalifikacja na podstawie krótkiego (i zabawnego!) egzaminu pisemnego. Piątek, w porze lunchu, punktualnie o 13.00. Stowarzyszenie Studentów, sala 6.

Wymagane zaangażowanie.
Dziękujemy leniom i cwaniakom.
*Oczekujemy zgłoszeń wyłącznie od nieprzeciętnych
umysłów.*

Ciąg dalszy w wersji pełnej

^[10] UCCA – Universities Central Council on Admissions – rada koordynująca przyjęcia na studia uniwersyteckie w Wielkiej Brytanii.

^[11] Lee Majors (ur. 1939) – współczesny amerykański reżyser i aktor.

5

Dostępne w wersji pełnej

6

Dostępne w wersji pełnej

7

Dostępne w wersji pełnej

8

Dostępne w wersji pełnej

Runda druga

Dostępne w wersji pełnej

9

Dostępne w wersji pełnej

10

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

20

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Runda trzecia

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

25

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

30

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Runda czwarta

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

36

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

38

Dostępne w wersji pełnej

Runda końcowa

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

40

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Epilog

Dostępne w wersji pełnej

43

Dostępne w wersji pełnej

Podziękowania

Dostępne w wersji pełnej

Słowo od autora

Dostępne w wersji pełnej

Dobry początek

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

Runda pierwsza

1

2

3

4

5

6

7

8

Runda druga

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

Runda trzecia

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

Runda czwarta

33

34

35

36

37

38

Runda końcowa

39

40

41

42

Epilog

43

Podziękowania

Słowo od autora

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału
STARTER FOR TEN

Redakcja
Monika Kiersnowska

Korekta
Mirosława Kostrzyńska
Jadwiga Piller

Copyright © 2003 by David Nicholls
Copyright © for the translation by
Mira Czarnecka
Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o.,
Warszawa 2012

Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53, 02-953 Warszawa

ISBN 978-83-63387-24-2



Odwiedź
nas na 



Plik ePub opracowany przez firmę eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).